



FOT. Z ARCH. K. KONOPKI

Uhuru Peak (5895 m) – najwyższy punkt wierzchołka Kibo. Od lewej: Maciej Bernadt, Krystyna Konopka (za nią Mirosław Kuraś), Leszek Czarnecki, Staszek Cholewa i Janusz Chalecki

Co ją sprowokowało?

Akurat prowadziła do wodopoju młodego, gdy nasze ścieżki się spotkały. Zaczęła ryczeć, tupać, straszyć. Wycofaliśmy się, co wcale w tym błocie, na wąskiej, krętej drodze nie było łatwe. Poczekaliśmy za zakrętem, aż przeszła. Miała pierwszeństwo, Afryka to jej dom. Cała Mount Kenya była dla nas nie lada wyzwaniem. W zespole Bernadt, Chalecki, Mirek Kuraś i ja zdobyliśmy ją w stylu alpejskim, w ciągu pięciu dni. Przed nami żaden Polak nie pokonał położonego tam lodowca Diamond. Woda zamarzała mi po drodze, więc trudno było tam uwierzyć, że jestem na Czarnym Łądzie. Ze szczytu w dół zjechaliśmy na linach – tam nie ma żadnej trasy turystycznej. Ostatnim krajem na naszym szlaku była socjalistyczna wówczas Tanzania. Już z przekroczeniem granicy

mieliśmy problem, bo w tym stroju nie jest proste. W końcu udało nam się dotrzeć do stóp Kilimandżaro. Rozbiliśmy obóz w miejscowości Arusha, u państwa Wojtowiczów, polskich uchodźców z czasów drugiej wojny światowej. Władza ludowa odebrała im wytwornię wędlin, którą przez wiele lat tam prowadzili, ale na własne potrzeby produkowali jeszcze swoje rarytasy. Nigdzie nie jadłam tak doskonałej, rodzimej kaszanki jak u nich, w sercu Afryki.

I, znów ocieźiali, z trudem ruszyliście w dalszą drogę?

Z trudem, bo po schodach...

Na Kilimandżaro? Po schodach? Pierwsze słyszę...

To były schody procedur, formalności, biurokracji i wszechobecnej korupcji. Jak to w socjalizmie. W końcu udało nam się dostać pozwolenie na zdobycie szczytu via Umbwe Route. Po drodze pokonałmy lodowiec Heima, wówczas stanowiący dużą przeszkodę, a dzisiaj już nieistniejący. W masywie Kilimandżaro znajdują się trzy wierzchołki: Kibo, Mawenzi i Shira, nieatrakcyjna dla naszej wyprawy, gdyż nie sięga 5000 metrów. Zdobyliśmy więc dwa, przy czym na Mawenzi stanęliśmy jako pierwsi Polacy (w zespole: Stanisław Cholewa, Leszek Czarnecki, Mirek Kuraś i ja). Dopiero w przeddzień wejścia na ten szczyt zorientowałam się, że mam szansę być pierwszą kobietą na świecie z kompletem afrykańskich pięciotysięczników w dorobku. Wcześniej wcale nie planowa-



Po zejściu do wioski Ibanda – leczenie miejscowej ludności

łam przechodzić do historii... *(śmiech)* Pamiętam, jak Mirek Kuraś powiedział do mnie: – Wiem, że jest późno i może nas czekać biwak pod szczytem... Przyznałam mu rację. Śpieszyliśmy się, w drodze powrotnej przez nieuwagę straciłam linę okulary lodowcowe. Była godzina szesnasta, do zmroku zostały trzy godziny, popatrzyłam na niebo – zachmurzone, nic mi nie będzie – odetchnęłam z ulgą. Noc spędziłam z woreczkami herbat na oczach. Nazajutrz nie widziałam prawie nic – ślepotą śnieżną. I koledzy musieli mnie sprowadzać... Szłam po omacku, potykałam się i bardzo powoli docierała do mnie świadomość sukcesu: zdobyłam wszystkie szczyty, które powinnam.

I nie przypłaciła Pani tego żadnymi poważniejszymi konsekwencjami?

Nie, podobnie jak nikt z naszej wyprawy. Nikt nie przywiózł do Polski niechcianych pamiątek: malarii, ameby lub pasożytów. Mam 77 lat i nadal cieszę się dobrym zdrowiem.

Była Pani w Afryce raz jeszcze?

Nie, już nigdy tam nie wróciłam, ale zawsze interesowałam się Czarnym Łądem. Wiele się tam zmieniło: Mawenzi jest zamknięte, a na Kilimandżaro i w Ruwenzori nie można wyruszyć bez przewodnika. Lodowce się topią. Ugandę najpierw spustoszyło AIDS, potem głód i wojna domowa. O ile jednak Afrykę śledzę z daleka, o tyle góry pozostały mi bliskie. Z mężem, Andrzejem Sławińskim, byłam na czterech trekkingach w Nepalu, dwa z nich prowadził Janusz Kurczab. Towarzyszyliśmy mu podczas pierwszego trekkingu wokół Dhaulagiri. Widzieliśmy go w ferworze pracy, na bieżąco sporządzającego notatki do swoich przewodników. Janusz był chodzącą encyklopedią wiedzy o Himalajach. Jego – jak się okazało – pożegnalną eskapadą był wyjazd do Kanady, na nasze zaproszenie, latem 2012 roku. Wędrował z nami po kanadyjskich Górach Skalistych. To były ostatnie wycieczki turystyczne Janusza.

A gdzie Pani była ostatnio?

W czerwcu obchodziliśmy 40-lecie wyprawy do Afryki. Spotkaliśmy się wówczas ponownie po raz pierwszy od powrotu z Czarnego Łądu. Niestety, już nie w komplecie: czterech uczestników wyprawy nie żyje, jeden był zbyt chory, aby do nas dołączyć. Ósemka jednak stawiała się punktualnie w Rzędkowicach – czyli tam, gdzie moja wyprawa do Afryki się rozpoczęła. Historia zatoczyła koło. ■